ROZMAITOŚCI.

Dnia 19 lipca, Nrer. 29. roku 1845.

Zbójcy w okolicach Rzymu.

Feliks D.... młody, zaszczytnie odznaczający sie malarz, wybrał się był przed kilką laty w podróż do Rzymu. Lubo klasyczni sędziowie akademii nie zawsze jego dotychczasowe prace chwalili, byłto przecież niepospolity talent, zapowiadający kiedyś znamienitego artystę. Sztuka była mu wszystkiém; alež i świat nie był także dlań bez powabu, jakož poświęciwszy cały dzień pilnéj pracy, lubił odwidzać towarzystwa, gdzie jego zasługi i ujmująca uprzejmość bardzo pochlebne przyjęcie mu zapewniały.

W najwyższych salonach pięknego rzymskiego świata spotkał był Feliks hrabiego Adryjana L..., który dla odetchnienia po szumnych uciechach Paryża, na dwa lata do Włoch się schronił. Obaj ci młodzi ludzie byli niegdyś szkolnymi towarzyszami; wspólność upodobań i wyobrażeń zawiązała pomiędzy nimi poufną przyjaźń, która nawet próbę niebezpieczeństwa życia przeszła. Jednego razu, Feliksowi pływającemu po Tybrze w dość lichém czółnie i przy burzliwym wietrze, zdarzył się niebezpieczny przypadek; wpadł w wodę i byłby nieochybnie utonął, gdyby nie towarzyszący mu Adryjan, który za nim się w wodę rzucił i z narażeniem własnego życia szczęśliwie go uratował. W krótce po tém zdarzeniu odjechał hrabia w dalszą podróż; udał sie najprzód do Neapolu, a ztamtąd zamyślał popłynąć do Wenecyi, gdzie Feliks miał nań czekać.

Młody malarz spędzał większą część czasu na oglądaniu lub kopiowaniu arcydzieł sztuki, znajdujących się po kościołach, galeryjach i muzeach, a oprócz tego przedsiębrał małe wycieczki w okolice wiejskie, gdzie przerysowywał wzory, jakie tylko wolna, nieprzemuszona natura przedstawić może. W jednéj z takich artystycznych wędrówek zabłąkał sie był o kilka mil od Rzymu w odludną okolicę, napastywaną przez głośną bandę zbójecką, o któréj młodym naczelniku, dziwy sobie opowiadano. Nie minął dzień, żeby jakiego nowego rabunku nie popełniono. Wszelkie usiłowania rzymskiéj milicyi rozbiły się bezskutecznie o śmiałość zbójców. Feliks odważył się pójść sam bez przewodnika w tę niebezpieczną okolicę. »Opryszkowie« rzekł do siebie — »napadają bogatych Anglików, którzy extrapocztą podróżują, ale nie ubogiego malarza, który z portfelem pod pachą okoliczne pola obiega.«

Przytém lubił Feliks przygody, i nie lękał się wcale ujrzeć z bliska tych zbójców, o których tak dziwne i straszne rzeczy słyszał. Życzenia jego zostały spełnione. Był właśnie zdejmowaniem nadzwyczajnie malowniczéj okolicy zajęty, gdy nagle ktoś po ramieniu go uderzył. Feliks obrócił się czémprędzéj i ujrzał za sobą jakiegoś wpół po wojskowemu, wpół po chłopsku ubranego mężczyznę, który obojętnym głosem go spytał: »która godzina?«

Feliks dobył bardzo lichego zegarka. Nieznajomy z rzadką zgrabnością wziął mu go z ręki, i ozięble do kieszeni schował.

»Rozumiem« — ozwał się malarz — »nie chodziło panu o czas, lecz o zegarek.«

»Słusznie; teraz proszę o sakiewkę.«

»Bardzo chuda.«

»Jaka jest. Czy niéma co z klejnotów?«

»Niéma ani śladu.«

»A ta oprawa ołówka?«

»Z mosiądzu.«

»Możesz ją sobie zatrzymać. — Nie szczególna zdobycz z ciebie, mój przyjacielu. Ale cóż robić. Nie gniewam się oto. Rysuj sobie spokojnie — i bywaj zdrów!«

»O chwilę cierpliwości proszę,« odrzekł Feliks — »czy tamci ludzie są twoi towarzysze?«

»Jestem ich dowódzcą.«

»Jakże prześlicznie stoją ugrupowani, jak cudowny efekt sprawiają na tym peizażu! Nie chciałbyś mi też wielką przyjemność zrobić?«

»I owszem — o cóż chodzi?«

»Powiédz twoim ludziom, aby przez kilka chwil na miejscu pozostali, póki ich nie odrysuję.»

»Ah! — czy i mnie także chcesz odrysować?«

»Ciebie najpiérwéj.«

»A cóż nam dasz za to?«

»Co wam dam? Wszakżeście mi wszystko odebrali.«

»Słyszałem, że wy, malarze, płacicie talara tym ludziom, których za model używacie?«

»Tak jest — jestto zwyczajna cena.«

»Otóż — jest nas tu sześciu — więc nam zapłacisz 12 dukatów w złocie. Dość mi na twojém przyrzeczeniu. Powiesz mi jak się nazywasz i gdzie mieszkasz, a ja przy piérwszéj bytności w Rzymie udam się sam do ciebie, i odbiorę tę sumę.«

Feliks przystał na ten warunek, a po ukończeniu szkicu, pozdrowił go herszt bandytów przyjacielskiem skinieniem ręki — i powiódł swój orszak w niedostępne góry.

We dwa tygodnie po téj scenie, siedział nasz młody malarz samotnie w swojéj pracowni nad nowo rozpoczętym obrazem, gdy oto jakiś nieznajomy mężczyzna wszedłszy śmiało do pokoju, zrzucił płaszcz z siebie, i stanął przed artystą: byłto herszt zbójców.

»Nie dziw się, jato jestem,« — ozwał się gość niespodziany — »czyś mnie nie oczekiwał?«

»Przyznam się szczérze — iż nie.«

»Wszakżem ci powiedział, że przyjdę. Mamy jeszcze mały rachunek z sobą. Powiesz może iż sobie nierozsądnie postąpiłem. Ale mam rzadki dar czytania w twarzy, i sądzę, iż mnie zdradzić nie możesz. Zresztą pracownia malarza nie jest kryjówką szpiegów. Przychodzę więc w zupełnem zaufaniu, jako uczciwy wierzyciel do swojego dłużnika, spytać się, czy ma gotowe pieniądze na zapłacenie długu?«

»Winienem 12 dukatów — nieprawdaż?«

»Masz dobrą pamięć.«

Feliks poszedł do biurka, podczas gdy zbójca przechadzał się po pracowni, jak miłośnik obrazów, i stanął sobie przed świeżo ukończoném malowidłem.

»Przepyszna!« zawołał.

»Cóż takiego?«

»Scena przedstawiająca spotkanie.«

»Jakże — czy sądzisz, że mi się udała?

»Twój wyrok pochlebia mi nie mało, gdyż masz prawo zaiste, być sędzią w tym razie. Oto są twoje 12 dukatów.«

»Teraz co innego — teraz nie chcę pieniędzy; sam ci owszem zapłacę. Nie przedałbyś mi tego obrazu?«

»Sprzedać tobie? — I na cóż ci się on przyda?«

»A cóż to ma do rzeczy? Powiédz mi tylko ile sobie cenisz ten obraz?«

»Na prawdę?«

»A jużci nie na żarty,« to rzekłszy rozpiął széroką westę bandyta, dobył trzosa, który bogato dukatami był nadziany, i rzekł:

»Toby wystarczyło nagrodzić Rafaela.«

»Wierzę mocno — lecz jeźli ci się obraz podoba, tedy przyjm go zamiast tych dwunastu dukatów, które ci winien jestem.«

»To sobie wypraszam; wstydziłbym się korzystać z twojéj spaniałomyślności. Twój obraz wart przynajmniéj 200 dukatów. Oto je masz.«

To mówiąc rzucił kiesę pełną złota na stół, wziął malowidło pod pachę, osłonił się płaszczem i rzekł:

»Zrobiłem dobre kupno; to malowidło

godne jest ręki Salvatora Rozy, który nas, zbójców malować lubił.« Poczém wyszedł spokojnie, nucąc aryję z ostatniej opery Donizettego.

Trzy miesiące upłynęły po tem dziwném spotkaniu. Felix stanął był właśnie w Wenecyi, i rozgościł się u swego przyjaciela Adryjana.

»Oczekiwałem cię mój Feliksie« — powitał go hrabia.

»Abyśmy razem do Paryża wrócili?«

»Tak jest — lecz odbędziemy tę podróż we troje.«

»Czy tak! A któż jest ów trzeci?«

»Najpiękniejsza dama w Wenecyi.«

»Więc jakaś przygoda miłośna?«

»Jeszcze więcej niż to; pojedziem, z hrabiną Adryjanową; gdyż zastałeś mię w przedjutrzu mojego ożenienia. Narzeczoną moją jest piękna baronowa d'Ascoli, której cię dziś przedstawię. Jużem jéj oznajmił twoje przybycie, i pragnie bardzo zabrać z tobą znajomość.«

Adryjan, który pałał niecierpliwością pochwalenia się swoją kochanką, zaprowadził Feliksa natychmiast do baronowéj. Wstąpili do przepysznie, na wzór pałacu urządzonego domu. Trzech galonowanych służących czekało w przedpokoju. Wszystko lśniło się od marmurów i od złota. Oznajmiono im iż pani właśnie wyszła.

»A czy wnet wróci?« zapytał hrabia.

»Niebawem — panie hrabio.«

Otworzono im podwoje do wytwornego salonu. Ale zaledwie Feliks w około się obejrzał, już wydał głośny krzyk zadziwienia.

»Cóż ci jest!« spytał hrabia.

Malarz nie odpowiedział; stanął niemy i osłupiały przed jednym z porozwieszanych obrazów, przedstawiającym scenę zbójecką.

»Piękny obraz? nieprawdaż?« rzekł Adryjan obojętnie.

»Bardzo piękny. Ale zkądże on się tu wziął?«

»Bardzo prostym sposobem. Jestto dar, który baronowa niedawno od swego kuzyna otrzymała.«

»Od kuzyna, powiadasz?«

»Tak jest — młodego, przystojnego mężczyzny, który, przyznam ci się, nie małego niepokoju swojémi częstémi odwidzinami mię nabawił. Lecz odjechał już przedwczoraj do jednego ze swoich zamków około Rzymu.«

»A ten kuzyn jest, jak mówisz, jeszcze młody?«

»Ma łat może trzydzieści.«

»Słuszny, dobrze zbudowany, brunet, niebieskie oczy, twarz wyrazista?«

»Na włos odgadłeś — czy go znasz? Ale łatwo się o tém przekonać — oto jego portret w tym gabinecie.«

»Ach tak, jestto ten sam!« zawołał Feliks wstępując do buduaru przyszłéj hrabiny Adryjanowéj.

»I gdzieżto poznałeś się z kawalerem de Montefiori?«

»W okolicy Rzymu, gdy właśnie w towarzystwie pięciu opryszków ze swojéj bandy, odebrał mi zegarek i sakiewkę.«

»Oszalałeś, Feliksie!«

»Ręczę ci że nie! Ten obraz, którego widok mię zdumiał, jest moim własnym utworem, a ów rzekomy kawaler dał mi zań 200 dukatów. Ach, uchodźmy mój przyjacielu, uchodźmy! Znajdujemy się tu w zbójeckiéj jaskini, a twoja narzeczona jest kuzynką lub kochanką herszta rabusiów... Szczęście, że jeszcze w sam czas przybyłem.«

Na poparcie swego twierdzenia opowiedział Feliks całą przygodę hrabiemu, który ledwie mógł przyjść do siebie z zadziwienia. Nadaremnie starał się był hrabia zasięgnąć bliższych wiadomości o baronowéj; głęboka tajemnica ukrywała wszystkie okoliczności jéj poprzedniego życia.

W kilka godzin po rozpatrzeniu się Feliksa w mieszkaniu baronowéj, wyjechali obadwaj przyjaciele cichaczem »z pięknéj Wenecyi.«

»Ocaliłeś mi życie« rzekł Feliks do Adryjana — »a teraz czuję się szczęśliwym, iż ci tak ważną przysługę wzajem wyświadczyć mogłem. Bywa to czasem nie źle, popaść w ręce rabusiów!«

Skutki zazdrości.

Pod koniec miesiąca sierpnia przybył eskadron pułku dragonów królowéj z Ma-

drytu w okolicę Walencyi, do wsi Rosafa na załogę. Dowodzący oddziałem alferez czyli chorąży, który dla swego stopnia u najzamożniejszego gospodarza mieszkanie objął, należał do staréj hiszpańskiej rodziny, słynącéj z wielu znakomitych przodków, najwyższémi niegdyś duchownémi i wojennémi dostojeństwami zaszczyconych. Nazywał on się Don Rafael margrabia de Turia; jego zaś gospodarzowi było na imię Pedro Ferrer. Ten ostatni byłto mały chuderlawy mężczyzna, mający około lat trzydzieści, gęsto czarno obrosły, i bardzo wyrazistych rysów. Ledwie półroku upłynęło, jak się ożenił, a widząc go w niedzielę, w kościele San Geronimo, lub w dnie świąteczne przy wyścigach pod Alboraya, wystrojonego w szérokie szarawary Alpugatas, podobne do fustaneli Greków, w niebieską aksamitną kamizelę o dwu rzędach złotych guzików, w płaszcz malagajski, rodzaj arabskiego, od Maurów jeszcze przyjętego burnusu, na głowie wysoki, szpiczasty, dużym jedwabnym kutasem ozdobiony kapelusz, przy boku swojéj żony Wincenty, najpiękniejszéj wieśniaczki w całéj okolicy owego sławnego miasta Walencyi, gdzie Esteban Murillo przecudne wzory swoich dziewic znajdował — widząc go tak dumnego i zakochanego, nie można było niepodziwiać dostatniéj powierzchowności tego wieśniaka i nie zazdrościć w duchu malującemu się w każdym jego kroku zadowoleniu i szczęściu.

Z początku przyjął Pedro Ferrer nowoprzybyłego alfereza z wszelkiém zaufaniem gościnności; nie, jakoby mu już wtenczas nie wpadła była w oko jego młodzieńcza piękność i wytworność, lecz ponieważ zupełnie na miłości i cnocie swojéj żony polegał.

Ztémwszystkiém, zamieszkanie Don Rafaela w zagrodzie walensyjskiego wieśniaka rzuciło skryte ziarno niezgody, które prędzéj czy późniéj, domową spokojność tego cichego, szczęśliwego pożycia zamącić miało. Wkrótce nie była Wincenta już ową łagodną, pracowitą i przychylną żoną co dawniéj. Przechodząc od najroztrzepańszéj pustoty do głębokiéj zadumy, od najczulszego obejścia się z małżonkiem do gwałtownych wybuchów gniewu i zapalczywości, zmieniała co chwila tak łagodny niegdyś charakter. Pedro dostrzegł z łatwością nagłego zachwiania swojéj żony, i uważał aż nadto bystro, jak się Wincenta mieszała, gdy Don Rafael był obecnym, lub jaki mimowolny niepokój ją ogartał, skoro z domu się oddalił. Nie okazując jednak najmniejszego zadziwu lub podejrzenia, zaczął z okropną oziębłością śledzić dowodów przekonania, i nastręczał przeto umyślnie swojéj żonie i alferezowi wszelkich sposobności do jaknajczęstszego widywania się i mówienia bez świadków.

Zwyczajnie spędzał Pedro większą część dnia przy pracy na nieprzejrzanych polach ryżowych, które się wzdłuż żyznych brzegów Gwadalawiaru ciągną. Tam też zaszła go chwila, mająca przekonać go o wypadku, którego tak gorliwie dochodził. Wracając pewnego wieczora nieco wcześniéj niż zwykle z pola, powziął myśl zakradnienia się potajemnie do domu, aby znienacka ujrzéć, co téż Wincenta robi. W tym celu przedarł się ostrożnie przez zarośla otaczające domostwo, przelazł przez mur ogrodowy, i spojrzał wzrokiem ostrowidza wokoło. Niedaleko od muru, w cieniu rozłożystych granatów, siedziała Wincenta obok Don Rafaela. Oczy młodéj, pięknej mężatki, były niespokojnie na dół spuszczone, a jedna jéj ręka spoczywała w ręce młodzieńca. Pedro ani się ruszył. Don Rafael, ośmielony pomyślném przyjęciem swoich miłośnych oświadczeń, objął pod boki Wincentę, która, jakgdyby ze snu zbudzona, wprawdzie nie bez urazy, lecz jeszcze smutniéj i miłośniéj spojrzała na kochanka, i nagle z płaczem odeszła.

Pedro Ferrer był jakby gromem rażony. Cała przeszłość najtkliwszéj miłości, cała przyszłość najpowabniejszego szczęścia, znikła dlań bez powrotu. Ale żadna skarga nie przeszła przez jego usta. Skrywając głęboko męczarnie zazdrości która go pożerała, oblekając się cały w maskę obojętnego pokoju, pełnił jak dawniéj obowiązki przy swojém gospodarstwie, i cho-

dził osobliwie z zwykłą pilnością około pracy w polu. Jedno tylko dziwiło walensyjskich pasterzy, iż ów niegdyś tak rączy Pedro, teraz po całych godzinach nieruchomo na rydlu wsparty dumał, a gdy go o co spytano, niechętnym tylko ruchem, lub ponurym odpowiadał uśmiéchem.

To trwało aż do świąt Alborajskich, to jest do ulubionéj walki byków, która w sąsiedniéj, tuż pod Walencyją leżącéj wsi Alboraya, co roku się odbywała. Wincenta nie opuściła nigdy tego narodowego widowiska, jakoż i teraz nalegał Pedro na nią koniecznie, aby się jak zwykle do swojéj w Alboraya mieszkającéj siostry udała, i tam przez czas kilkudniowych igrzysk zabawiła. Nie wypadało Wincencie tém mniéj się temu opiérać, że tegoroczna walka byków osobliwie zajmującą być miała, ponieważ jakiś sławny nowy matador przeciw olbrzymim bykom Xaramy występować przyrzekał.

Z nadmiaru troskliwości i jakby z dumy małżeńskiéj, zmusił Pedro Wincentę do przywdziania najpyszniejszego stroju. Opasał ją jedwabną ponsową szarfą wokoło smukłego stanu, zawiesił jéj na szyi ciężki krzyż złoty, który schodząc święcie szanowaną puścizną po matce na córkę, nieraz przez kilka pokoleń w jednéj rodzinie się utrzymuje, i zatknął jéj sam w jéj ciemne, we dwa ciężkie warkocze splecione a dużémi śpilkami przymocowane włosy mały, misternie wyrzezany grzebyk, będący jednym z najozdobniejszych przyborów walensyjskich chłopianek, który u mężatek zwykle ze złota, u dziéwcząt zaś ze śrebra bywa.

Przy odjeździe nie zdawało się, jakoby Wincenta o Don Rafaelu myślała: nie rzekła ani słowa, któreby jego tyczéć się mogło, lecz nadstawiła owszem z drżącą prawie nieśmiałością czoło mężowi do pożegnawczego pocałunku, którego on jednak nie przyjął, odsuwając ją łagodnie od siebie i mówiąc z dziwnym uśmiéchem: »Dziś — nie.«

Cóż się działo tymczasem pod niebytność Wincenty w jéj mężowskiéj zagrodzie? Cóż się stało z Don Rafaelem? Czy także udał się potajemnie do Alboraya, lub był obowiązkami służby na krótki czas z Walencyi odwołany? Gdzieś podział się bez śladu, a to tajemnicze zniknienie wywoływało tysiączne, najrozmaitsze wnioski. Do tego przyczyniła się jeszcze zatrważająca pogłoska, która po całéj wsi krążyła: jedno z dzieci mayorala, najbliższego sąsiada Pedra, zasłyszało w nocy po odjeździe Wincenty jedyne lecz przeraźliwe, straszne krzyknięcie, jakby krzyknięcie skonu. Przy tém uważano z podziwem stan niemej trwogi, w jaką Wincenta od czasu swego powrotu z Alboraya zapadła. Te wszystkie pogłoski zwróciły uwagę sprawiedliwości, i przedsięwzięto w domu Pedra kilkokrotne poszukiwania, przy których jednak nic się nie okazało. Wincenta odpowiadała na zapytania sędziego pojedyńczémi słowy; Pedro zaś zdawał się być oburzonym lubo bez złości, oziębłym bez przesady, spokojnym bez zuchwałości, na tak okropne podejrzenie, które nań zwalić chciano. W ten sposób musiała sprawiedliwość pozostać w dawniejszéj niepewności i czekać dalszych poszlak.

Tymczasem mijały dnie i tygodnie, a o znikłym chorążym nie było słychać żadnéj wieści. Lecz im mniéj rzeczywistych śladów się pojawiało, témbardziéj utwierdzały się owe oskarzające pogłoski, wymieniając wyraźnie mordercę alfereza. Pedro Ferrer ujrzał się wkrótce wszędzie podejrzliwémi wzroki ściganym, i postrzeżono nie bez zdziwienia niepokój dawnego psa Don Rafaela, znanéj pirynejskiéj rasy, z dużą głową, płaskiémi oczy, który bez ustanku posępnie w okolicy wsi Rosafa, po dalekich polach ryżowych, aż po wybrzeża lagun się błąkał.

Tak nadszedł wrzesień, a z nim czas, kiedy się zaczynają wielkie polowania na kurki wodne, tak zwane *fochas*, znajdujące sie w nieprzebranéj ilości w mnogich małych kanałach, którémi cała dolina walensyjska jest w zadziwiający sposób zaopatrzoną. Zewsząd cisnęły się tłumy strzelców z lekkiémi karabinkami, które w ręku Hiszpana rzadko kiedy celu chybiają. Pies margrabiego de Turia przy-

łączył się do myśliwych, lecz przybywszy w pobliże lagun, zaczął się niepokoić, skowyczeć, sierść mu się najeżyła, a wreszcie zawył przeraźliwie i skoczył w wodę. Pływał jakiś czas około śluzy, aż razem chwycił za czémś płynącém z wodą, i wrócił potém na brzeg, trzymając w pysku pochwyconą zdobycz, która wnet okazała się być ręką ludzką.

W najwyższém zadziwieniu rzucili się obecni strzelcy za psem, który co tchu przez całą wieś Rosafa, aż do domu Pedro Ferrera bieżał, i tam rękę na progu złożył. Małżonek Wincenty pracował właśnie około domu na podwórzu, gdzie postrzegłszy go pies alfereza, skoczył wściekle na niego, uchwycił go za gardło, i byłby go udusił niezawodnie, gdyby Pedro, nie tracąc nawet w tém groźném niebezpieczeństwie zwykłéj oziębłéj spokojności, nie porwał był swego długiego hiszpańskiego noża *navaja* i nie zadał rozjuszonemu psu kilka śmiertelnych razów.

W tymże samym czasie nadbiegli myśliwi, do których także kilku dragonów z pod komendy alfereza się przyłączyło. Stanąwszy przed domem Pedra, podniesiono leżącą na progu rękę, którą żołniérze po bliźnie od cięcia pałaszem, jakie Don Rafael w potyczce z karlistowskimi ułanami pod Mendigorria otrzymał, uznali być ręką Don Rafaela. To niespodziane odkrycie rzuciło okropne podejrzenie na Pedra, które témbardziéj się wzmogło, gdy ujrzano, jak Wincenta na widok martwéj ręki, z wzdrygnieniem niewysłowionéj zgrozy, prawie pomimo wiedzy, zcicha: »To dopust boży!« szepnęła, i zemdlona o ziemię padła.

Przeciw tak jawnemu wyrokowi opatrzności nie śmiał Pedro Ferrer zaprzeczać, lecz rozmyśliwszy, iż wszelkie dalsze tajenie na nic się tu nie przyda, rzekł ponuro: »Niech się więc co chce dzieje; to wiém przynajmniéj, iż, choć mi umrzéć przyjdzie, umrę pomszczony!«

Poczém opowiedział z największą dokładnością wszelkie szczegóły zbrodni: jak wyprawiwszy umyślnie Wincentę do Alboraja, udał się był, uzbrojony swoją nawają, w nocy do izby alfereza; jak zbliżywszy się zcicha do jego łoża, ujrzał go tam — tak młodego, tak bez troski i spokojnie śpiącego, i zachwiał się na ten widok w swojém morderczém przedsięwzięciu — lecz trwało to chwilę tylko; po téj przemijającéj słabości odezwała się tém srożéj żądza zemsty — i wtedyto wepchnął nóż tak głęboko w piérś alfereza, iż się w niéj cały aż po rękojęć utopił. Don Rafael wydał krzyk przeraźliwy, rozciągnął ramiona i wlepił krwią zaszłe oczy, nieruchomo w mordercę. Przerażony tém spojrzeniem, zamknął Pedro swojéj nieszczęśliwéj ofierze powieki, i wyniosłszy pokrajane w kawałki ciało aż ku lagunom, skrył je tam pod zasłoną nocy w kilku miejscach pod wodę.

To zeznanie ułatwiło cały tok sprawy. Wszyscy byli pewni wyroku śmierci, który też w istocie wkrótce wydany został. Zamknięto Pedra do zwyczajnéj na śmierć skazanych kapliczki, gdzie przez dwa dni pozostał, a trzeciego dnia wyprowadzono go na stracenie, na plac del Mercado w Walencyi.

Pedro miał na sobie czarną włosienicę z białą, széroką krézą; jechał na ośle; z jednéj strony szedł obok niego Franciszkan w sinym habicie, po drugiéj kat w krótkich spodniach, w czarnym kaftanie i okrągłym, na bok zarzuconym płaszczu. Oprócz tego niósł w ręce kapelusz z szérokiemi krysami, i zakrywał nim oczy winowajcy, aby nie widział szubienicy.

W téj uroczystéj chwili okazywał Pedro spokojność i rezygnacyję. Ujrzawszy rusztowanie, wpatrzył się w nie ciekawie i gorzko się uśmiechnął. Podano mu napój orzéźwiający, lecz go nie przyjął.

Dwie drabiny stały pod szubienicą; na jednę z nich wylazł kat, za nim postępował Pedro. Będąc już w połowie drabiny, stanął i ozwał się do mnicha, który trzymając go za rękę, wschodził po drugiéj drabinie: »Weź, mój ojcze, ten oto słoniowy krzyżyk, który tu mam na piersiach, i oddaj go — Wincencie! Wszakże umiérający — przebaczać powinni.«

Przy wyrzeczeniu tego imienia, imie-

nia żony, którą nad życie kochał, zajaśniała łza w oku winowajcy. Gdy już stanął na ostatnim szczeblu drabiny, zaśpiewało bractwo pogrzebowe chórem pieśń *Miserere*, a kat, zbliżywszy się nieznacznie do nieszczęśliwego Pedra, zarzucił mu stryczek na szyję i strącił go z drabiny w powietrze....

Po krótkiej, okropnej chwili, nie żył już morderca alfereza — a wszyscy widzowie — lud na ulicy — damy na balkonach — padli na kolana.

Wdowa Pedra Ferrera opuściła rodzinną wieś Rosafa, i sprzedawszy nieszczęśliwą zagrodę, pogrzebała swój smutek i swoję skruchę w murach karmelitańskiego klasztoru San Felipe de Xativa.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 28my i zawiera: 1) O osuszeniu gruntów. 2) Uwagi nad chowem bydła. 3) Dla czego piwo bawarskie jest uważane za najlepsze w Niemczech? 4) O korze wierzbowej jako garbniku. 5) Jakie są znaki dobréj gliny na cegłę? 6) Machina do robienia cegły. 7) Sposób leczenia bielma u bydła i koni. 8) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 15ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Fakir (z Wilhelma Hamma), wiersz przez F. Ł. 2) Marcin Chuzzlewit, kilka rysów Ameryki i jéj mieszkańców, przez Karola Dickensa. 3) Nowości literackie. 4) Antoni Parys.

W Wiedniu wyszło z druku dzieło: »*Die Bukowina im Königreiche Galizien, von Bendella, Rektor am bischöflichen Seminar zu Czernowitz.*« Dzieło to przyczyni się niemało do wyświecenia téj prawie nieznanéj części naszego kraju. Autor korzystał sumiennie i pracowicie ze wszystkich źródeł, jakich mu dawne ziemiopistwo Bukowiny nastręczało. Osławionej u nas pamięci Kohl, jeżliby go chętka turystowska nad Czeremosz zawiodła, mógłby się wiele z dzieła tego nauczyć.

Znany nasz podróżnik Strzelecki, o ktorym w Gazecie lwowskiéj z roku 1843go széroko mówiono, wysłany z polecenia rządu angielskiego do Australii, po pięcioletnim pobycie w Nowopołudniowéj Walii i w Vandiemen, wydał w języku angielskim opis fizyczny tychże krajów.

Profesor Bogusławski z Wrocławia został korespondującym członkiem towarzystwa badaczów natury w Cambridge, które na d. 18go czerwca r. b. odbyło piętnaste coroczne zgromadzenie.

Tygodnik Petersburski rozpoczyna z bieżącym miesiącem lipcem drukowanie nieprzerwaną koleją następujących po sobie rozdziałów całkowitego romansu historycznego z czasów Stanisława Augusta, przez Autora »Pamiątek Soplicy« pod napisem »*Listopad.*« Dzieło to ustąpione na własność redakcyi Tygodnika, zawiéra textu na zwyczajne cztéry, lub na większe trzy tomy. Jestto więc pierwszy feuilletonowy romans polski.

Księgozbior zmarłego przed rokiem uczonego Bartł. Kopitara, składający się z najrzadszych dzieł we wszystkich językach słowiańskich, jest obecnie bądź częściowo bądź razem do nabycia. Ktoby o tém bliższą wiadomość zasięgnąć pragnął, może się udać do księgarni K. Gerolda w Wiédniu.

»Wieża babilońska.« Dnia 19go czerwca zdarzyło się w *Théâtre français* widowisko, o jakiém w tych uświęconych murach od czasów pamiętnéj walki klasyków z romantykami nie słyszano. Już kilka miesięcy naprzód oznajmiono publiczności w sekrecie, iż będzie przedstawiona nowa sztuka, któréj znakomity autor najściślejsze *incognito* zachować pragnie, a która jest arcydziełem dowcipu, ironii i satyry na wady teguczesnego społeczeństwa. Te tajemniczym sposobem udzielane pogłoski sprawiły pomyślny skutek; pozamawiono wszystkie miejsca, lecz przedstawienie zostawało od tygodnia do tygodnia pod różnemi pozorami odraczane. Wreszcie zapowiedziały żółte afisze »teatru francuzkiego« tak długo upragnioną sztukę pod nazwą »*La tour de Babel*«. — Cały teatr był przepełniony; niezliczone mnóstwo klakerów zgromadziło się na parterze; wszyscy autorowie, dziennikarze, feuilletoniści, wielu dyplomatów, kilka uczonych dam, cały świat piękny, a nawet królewicowie byli obecni. Wszyscy niezatrudnieni adjutanci królewscy, oficerowie dyżurni i co tylko do dworu królewskiego należy, nie omieszkało zająć miejsce w teatrze, gdyż bezimienny autor uchodzi za gorliwego stronnika panującéj dynastyi, za jednego z najpowierniejszych orleanistów. Ztemwszystkiém »Wieża babilońska« — będąca w istocie jadowitém wyszydzeniem wszelkich szlachetniejszych uczuć, a osobliwie najzłośliwszém przedrzeźnieniem patryjotyzmu — upadła — runęła śród okropnéj wrzawy całéj oburzonéj publiczności. Często ledwie można było dosłyszeć mowy aktorów, a klakerowie i przyjaciele autora musieli nieraz przed krzykiem publiczności umilknąć. Tak przy nieustanném sykaniu i gwizdaniu dograno wreszcie sztukę do końca, a teraz dało się słyszeć wołanie o wymienienie autora. Gdy reżyser p. Samson się okazał, powstał znowu tak wielki hałas, iż przez 10 minut nikt swego słowa nie słyszał; a na ostatku wszczęła się zacięta bójka pomiędzy sykaczami i klakerami na parterze. Dopiero wdanie się komisarza policyi z kilką municypalnymi gwardzistami uciszyło nieco publiczność, a wtedy wymienił pan Samson przybrane nazwisko: Anatole Bruant, które publiczność nowym szturmem gwizdań, sykań i stuków powitała. W końcu musiano przemocą wypróżnić teatr, przy czém niesłychane zamieszanie powstało. — Prawdziwym autorem téj nieszczęśliwéj politycznéj komedyi wymieniano najprzód p. de Liadières, adjutanta królewskiego, członka izby deputowanych — późniéj zaś małżonkę redaktora dziennika »*la Presse*« panią de Girardin, znaną w literaturze dziennikarskiéj pod imieniem: Vicomte Delaunay.

Ukaz cesarza Mikołaja dotyczący zmiany ubioru żydowskiego w Rossyi odniósł już, jak piszą z nad granicy rossyjskiéj, niektóre smutne skutki. Nie były one wprawdzie zamiarem cesarza, ale musiały wyniknąć z ustawy, która tak nagle i gwałtownie najświętsze religijne obyczaje ludu narusza. W Berdyczowie na Wołyniu, gdzie jak we wszystkich prawie południowych miastach rossyjskich, Żydzi największą część ludności miejskiéj stanowią, przyszło kilku młodych Żydków bez pejsów do bożnicy. Obaczywszy ich tamtejsi Chassidim — członkowie licznie w Rossyi jako téż w Polsce rozszérzonéj, a przytém nadzwyczajnie fanatycznéj sekty żydowskiéj, mającéj w swoich religijnych obrzędach niejakie podobieństwo z tak zwanemi *Shakers* w północnéj Ameryce — oburzeni tém znieważeniem starodawnego obyczaju, rzucili się wściekle na bezczesnych bluźnierców, jak tych młodych Żydków nazwano, i zagrozili im zamordowaniem ich na miejscu. Wszelkie tłumaczenie się rozkazy cesarskiémi nic nie pomogło. — »Cesarz

nie ma nam nic w sprawach religijnych do rozkazania!« krzyczeli Chassidimowie. »Jest on bogiem Jawanimów (tak nazywają Żydzi Rossyjan), lecz nie bogiem naszym! Należy wprzódy dać sobie skórę żywcem z ciała zedrzeć, niż tak bezbożnego rozkazu słuchać!« Powstała okropna wrzawa, w której dwaj z tych młodych Żydków pod razami Chassidimów ducha wyzionąć mieli. Na rozkaz gubernatora wołyńskiego rozpoczęto natychmiast surowe śledztwo, w skutek którego, jak twierdzą, przeszło piętnastu Chassidim na Sybir powędrowało. Największém jednak nieszczęściem było dla tych zapalonych fanatyków, iż przed wysłaniem ich w tę smutną drogę, kazano im ulubiony ich strój narodowy na zwykłe ubranie sybirskich wygnańców zamienić, a przedewszystkiém głowy ze szczętem pogolić, przyczém — rozumie się — pejsy pierwszą padły ofiarą. — *(Hum.)*

Odwidziny powesélne. W Chinach nie ma zwyczaju, aby nowożeńcy w odwidziny do przyjaciół chodzili, lecz natomiast wszyscy znajomi, sąsiedzi, słowem kto tylko ma ochotę, udaje się do nowopoślubionéj pary, aby ją poznać. Przyjmując te odwidziny musi młode małżeństwo przed łożem siedzieć. Najprzód wstępują mężczyźni, kłaniają się głęboko, stają przed nowożeńcami i wpatrują się pilnie w nową mężatkę; nikt jednak nie śmie do niéj przemówić; również i ona milczy. Małżonek przeciwnie ma obowiązek mówienia jaknajwięcéj, lecz tylko o niéj. Mianowicie powinien skreślić szumny obraz jéj wdzięków, wychwalać jéj zgrabne nóżki, sławić białość jéj rąk — i t. d., podczas gdy młoda żona jak woskowa figurka przy nim siedzi. Teżsame pochwały powtarzają się przed każdym nowym gościem, których zazwyczaj bardzo wiele przybywa... Po zaspokojeniu w ten sposób ciekawości, ustępują wszyscy do przyległego pokoju, piją tam herbatę i palą fajki. Gdy mężczyzni odeszli, przychodzi kolej na odwidziny kobiece, lecz natenczas ustępuje małżonek. Ciekawe przyjaciołki i sąsiadki oglądają teraz uważnie od stóp do głowy młodą małżonkę, która z kolei swojego męża równie chwalić powinna, jak on wprzódy ją chwalił. Od jéj znalezienia się w téj chwili zawisła cała jéj dobra sława na późniéj. Z téj przyczyny — ponieważ może być przekonaną, iż niepodobna jest prawie, aby swoją wymową wszystkim bez wyjątku się podobała — czyni niejedna młoda mężatka postanowienie nie mówienia nic wcale przy tych odwidzinach, i siedzi przez cały czas nieruchomo jak posąg ze spuszczonémi w dół oczyma, pozwalając się oglądać naokoło. — Żadna młoda mężatka nie może prędzéj jak przynajmniéj po roku pójść w odwidziny do rodziców. — Również osobliwszą jest rzeczą, iż pokrewieństwo po kądzieli nie uważa się w Chinach bynajmniej za pokrewieństwo, tak iż np. dzieci dwóch siostr bez przeszkody żenić się mogą, podczas gdy pokrewieństwo po mieczu niesłychanie daleko się rozciąga, przeco ustawy krajowe nieraz małżeństwo osób spokrewnionych z sobą w setnym stopniu, nadzwyczaj surowo karzą.

Lew na wikcie żołniérskim. Pisma francuzkie donoszą za najprawdziwsze zdarzenie: W okolicy francuzko-afrykańskiego miasta Philippeville bawi od niejakiego czasu spaniały lew, który z razu mieszkańców nie małego strachu nabawiał. Wkrótce jednak przekonano się, iż ten majestatyczny syn puszczy wcale nie jest krwiożérczym, lecz owszem wielką skłonność do towarzystwa ludzkiego okazuje. Nie ma dnia, żeby się ten lew pod samo miasto nie zbliżył, a osadnicy tak już do niego nawykli, iż go się nikt nie boi. Dzieci nawet nie uciekają przed nim, lecz owszem kamykami nań rzucają. Kilku żołnierzy z tamtejszéj załogi wzięło »sąsiada« — tak powszechnie tego lwa nazywają — pod szczególną opiekę i wynoszą mu codziennie misę rosołu, mięsa i chleba w pole, którędy lew zazwyczaj się przechadza. Nazajutrz znachodzono zawsze misę do szczętu wypróżnioną; pozostałe zaś tropy w piasku, i ślady, które szorstki lwi język na dnie drewnianej misy wydrapał, były dostatecznym dowodem iż »sąsiadowi« wikt żołnierski nieźle smakował. W ten sposób zjadał lew codziennie swoję porcyję, gdy raz pewien kapral postanowił z ciekawości być świadkiem tego obiadu. Ustawiwszy misę na zwykłém miejscu, schował się za bliskim krzewem i czekał aż lew przybędzie. Pół godziny minęło a lwa jeszcze nie było. Nareszcie znudził się kapral i chciał już wracać do miasta, gdy wtem »sąsiad« się zjawił. W oka mgnieniu skrył się kapral znowu za krzakiem, lecz bystre oko lwa dostrzegło go w téj chwili. Wprzódy jednak zabrał się lew do misy, a potém dopiéro udał się majestatycznym krokiem do kaprala. Nie dowierzający mu kapral cofnął się kilka kroków — co gdy lew spostrzegł, stanął natychmiast w miejscu, spojrzał uprzejmie na swego dobroczyńcę, i oddalił się zwolna.

Nowy wynalazek Daguerra. Pisma francuzkie donoszą o nowém zadziwiającem odkryciu tego sławnego wynaleźcy obrazów słonecznych. Ma to być sposób, za pomocą którego młode drzewka w trzy miesiące tak dzielnie wzrastają, jak drogą naturalną w trzy lata. Jakże piękne nadzieje rokuje ten pomysł wszystkim nowym plantacyjom, jakoteż całemu ogrodnictwu!

Essencyja kawowa. W sklepie pana Legrand w Paryżu dostanie nowowynalezionego preparatu, który z ceną bardzo umiarkowaną łączy tę wielką dogodność, iż z jednéj łyżeczki takiéj essencyi robi się filiżanka doskonałéj kawy — co lubownikom wszystkich zwykłych zachodów gotowania oszczędza.

Żart Bolesława Piasta, książęcia na Ziemblcach *(Münsterberg)*. — Tak zwana »Kronika książąt polskich« *(Chron. princip. pol.)* opowiada następujący dowód wesołego humoru pomienionego książęcia: Jednego razu na nowem mieście w Wrocławiu postrzegł książę wiele mleczarek. Kazał więc od wszystkich zakupić mleko, i zlać je razem w jedno duże naczynie, a potém rzekł do bab: »Nie chcę waszego mleka, niech sobie każda odbierze nazad co swoje, i wyczerpnie mleko z naczynia.« Nato coprędzéj jedna przed drugą do beczki, w którą owe mléko zlane było, i nuż czerpać garczkami! Lecz oto jedna tłucze garnek w zbytnim pośpiechu, druga puszcza dzbanek w mleko i nie może go schwytać; owa roztrąca cudze naczynie i klnie na towarzyszkę że ją do szkody przywiodła — powszechna wrzawa między babami a w końcu bójka się rozpoczyna. Latają zdarte z głów czepce, widać garście powyrywanych włosów... a książę wziąwszy się pod boki, śmieje się i śmieje. Wreszcie, gdy się już dość nabawił, kazał mleczarkom mléko i potłuczone garnki zapłacić i tak krwawą krotofilę zakończył.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.